

Xenia Popowicz

Jan Piotr Popowicz (1900 - 1987) - mój Ojciec

Ojciec zmarł, gdy miałam 61 lat, a więc zdawało by się, że powinnam wiedzieć o nim wszystko. Ale tak nie było. Dopiero ostatnie osiem miesięcy przed Jego śmiercią, gdy przebywaliśmy tylko we dwoje, poznałam go naprawdę. Złożone koleje losu naszej rodziny, która mimo przeciwności i dramatycznych przeżyć przetrwała wojnę i okupację razem, wydawało mi się normalne. Ale dopiero z perspektywy czasu i po długich z ojcem rozmowach widzę, ile w tym było jego wysiłków i jak bardzo odbiło się to na jego zdrowiu, na które nigdy się nie skarżył. Przez ponad dwa lata nie opuszczał łóżka, nie widział, nie mógł czytać. Radio zastępowało mu wszystko, prosił, żeby mu czytać prasę i to różną. Był ciekawy życia, do końca zachował pełną jasność umysłu, pogodę ducha. Na nic nigdy się nie skarżył, chociaż potem poznałam jego zgryzoty i przemyślenia z całego, niełatwego życia.

Miał 14 lat, gdy wybuchła I wojna światowa i nagle stał się odpowiedzialnym opiekunem Matki i 5-rga rodzeństwa. Jego ojcie, kolejarz, wyjechał ostatnim pociągiem Czerniowce - Wiedeń i wrócił do domu dopiero w 1918 roku. Nie powinno mówić się źle o zmarłych i nieobecnych, ale i zachowanie podczas II wojny światowej dowiodło, jak wielkim był egoistą. Do tego doszedł hazard, który pozbawił rodzinę dostatniego i wygodnego domu w Stanisławowie.

Z ocalałych dokumentów wynika, że [Jan Popowicz] od razu w 1914 r. poszedł pracować na kolei, żeby utrzymać matkę i rodzeństwo, i jak potem mi mówił, do matury przygotowywał się w budkach hamulcowych, jakie były w wagonach towarowych. Świadcstwo dojrzałości (duplikat posiadam) otrzymał w czerwcu 1920 r. w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim w Stanisławowie. Na świadectwie widnieje uwaga, że kandydat pobrał w czasie studiów stypendium z funduszu państwowego i krajowego w łącznej kwocie 644 Mk, i zobowiązał się do sześcioletniej służby w publicznych szkołach ludowych. Wiem, że pierwsza posadę miał w Chorożance, a potem w Podhajcach, w woj. tarnopolskim. Prawdopodobnie w wyniku jakichś zawirowań uczuciowych, chyba ok. 1924 roku wyjechał do Radomska, gdzie uczył w Publicznej Szkole Męskiej, a po ożenieniu się z moją matką, Natalią Ogrodnik, wyjechali w 1926 r. do aluszyńska, gdzie przebywali dziesięć lat. I tu nie mogę wspomnieć o mojej Matce. Według mnie wszystkoich różniło, nawet wzrost- ojciec miał ponad 184 cm, mama - 154 cm. Ojciec był z Galicji, mama z Sosnowca, z zaboru rosyjskiego. Znajomość języka rosyjskiego bardzo jej się przydała. Podczas okupacji sowieckiej była nawet zastępcą dyrektora szkoły do spraw pedagogicznych w szkole pod Stanisławowem, gdzie znaleźli się we wrześniu 1939 r. To wtedy ujawniła się energia, wręcz desperacja Matki, która musiała ojca, ażeby na rowerach 5 wrześniaka wyruszyć do Stanisławowa, gdzie przebywałam z braćmi na krótkich odwiedzinach u Dziadków, a potem, po 20 sierpnia [1939 r.], gdy zaczęła się mobilizacja, nie miał kto odwiedzić do domu w Wolborzu. Jechali nocami, wśród masy uchodźców byli ostatnia grupą przed wysadzeniem mostu na Wiśle w Puławach. Do Stanisławowa dotarli 15 września, a 17 [września] wkroczyli Sowieci, i całe życie uległo zmianie! Ale mama była z dziećmi! Matka brała udział w II i III Powstaniu Śląskim. Mimo marnego zdrowia była uosobieniem energii i kiedy było trzeba, determinacji w działaniu. Była otwarta na ludzi i bardzo aktywna w nkonkretnej pracy społecznej. Miała absolutnie inny charakter aniżeli ojciec, była towarzyska oraz trafnie oceniała ludzi. Jej nie spotykało gorzkie rozczarowanie, które nie omijało mego ojca. Matka kierowała się w życiu racjonalną życzliwością w ocenie ludzi, była kiedy trzeba uparta, energiczna, pisała piękne listy do swoich dzieci i umiała improwizować, gdy przyszło jej występować publicznie.

Ojciec miał całkowicie inne usposobienie. Gdy myślę o nim uderza mnie jego ogromna empatia do ludzi, determinująca stosunek do osób, które w jakiejś mierze były od niego uzależnione, zawowdowo czy w pracy społecznej. Ale wbrew temu, jak charakteryzuje się ludzie pochodzących z tzw. Kresów, był skryty, zamknięty w sobie, rzadko ujawniał swoje prywatne uczucia, odczuwane przykrości czy emocje. Obydwoje lubili młodzież i dzieci, byli nauczycielami i społecznikami, jak to się mówiło, z powołania. Z całym przekonaniem twierdzą (Mama też tak mówiła), że nie znał się na ludziach, każdego obdarzał zbyt dużym kredytem zaufania, co nieraz kończyło się rozczarowaniami, które skrycie go bardzo bolały. Trudno mu było pomóc, dopiero przy końcu życia czasem o niektórych sprawach i ludziach wspominał. Był wierny i lojalny w przyjaźni wobec osób do których się przekonał, i

Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Jan Piotr Popowicz (1900 - 1987)

Xenia Popowicz

nigdy nie kierował się w wyborze przyjaciół ich statusem społecznym czy materialnym. Do końca życia oceniał ludzi zawsze pozytywnie, a nie zawsze dobrze na tym wychodził. Poza wiadomościami niezbędnymi do wykonywania zawodu, miał bardzo różne zainteresowania, z którymi posiadał imponującą wiedzę, nie tylko ja to widziałam. I tu był samoukiem, sam to podkreślał. Gdy likwidowałam mieszkanie ojca, znalazłam na półce w biblioteczce jego ręką napisaną taką zakładkę: "Życie bez książki jest śmiercią", i potem dopisane: "Maria Dąbrowska: Do pojęcia Ojczyzny należy pojęcie książki". Mam ją u siebie. Do końca życia interesował się wszystkim co dotyczyło pierwszego zawodu, tj. kolejną, i ubolewał nad jej degradacją w stosunku do lat międzywojennych, a było przecież nie tak źle, jak obecnie. Chociaż coraz mniej podróżował, miał zawsze Sieciowe Rozkłady Jazdy na całą Polskę. Nie dożył czasów, gdy jak to mówią, ta "Święta książka dla kolejarzy", niemal dokument, praktycznie w Polsce nie istnieje. Kolejne pasje to historia i wszystko, co dotyczyło wojskowości. I nie była to wiedza powierzchowna. W domu była Encyklopedia Gutenberga, WEP [Wielka Encyklopedia Powszechna], i chyba 5 czy 6 encyklopedii tematycznych. Miał zwyczaj swoim bardzo pięknym piśmieniem aktualizować hasła, uzupełniać wycinkami prasowymi - nazywałam ją "żyjącą encyklopedią". Już gdy nie widział, na nasze jakieś zapytanie, potrafił powiedzieć w którym tomie możemy znaleźć informacje. Zostały mi po Ojcu "Pisma Zbiorowe" J. Piłsudskiego, Pamiętniki gen. de Gaulle, Krucjata w Europie, Eisenhowera, Pamiętniki Pattona, kilka książek dotyczących Polskiej Marynarki Wojennej i handlowej (dotyczących czasów wojny i pokoju), szczegółowe informacje dotyczące organizacji polskich sił zbrojnych w II Rzeczypospolitej, itp. Kochał Gdynię, i od kiedy pamiętam jeździł co roku 29 czerwca na Święto Morza; interesował go rozwój gospodarczy Polski i PRL. Udało mi się kupić w antykwariacie przedwojenne wydanie "Sztafety" i "Na tropach Smętka". Miałam zaszczyt należeć do przyjaciół domu pp. Wańkowiczów i widziałam radość Ojca (może lepiej zadowolenie) z bardzo osobistych dedykacji dla niego od Autora. Musiał "wszystko wiedzieć" o regionie w którym aktualnie mieszkał, zbierał mapy (miał całą Polskę w tzw. "setkach"), i wszystkie moje krótkie przyjazdy do Szczytna (od 1946 r. mieszkam w Katowicach), przeznaczone były przez Ojca na wozienie mnie (PKS i PKP) po całych Mazurach i Warmii. Bolał nad krzywdą wyrządzoną miejscowej ludności przez pierwsze władze administracyjne po wojnie, i to ludziom, którzy nigdy się nie czuli związani z III Rzeszą. Nierzadkie były przypadki "zmuszania ich do emigracji" po prostu przez zabieranie gospodarstw i niedopuszczanie do władz samorządowych. Ludzie poszkodowani przez wojnę z okolic Makowa Mazowieckiego czy Kurpiów przyjeżdżali na Mazury i Warmię nie zawsze by się osiedlić na stałe, ale żeby demontować co się dało i wywozić do odbudowy swoich zniszczonych siedlisk. Było gorzej aniżeli na Opolszczyźnie. Podobno do 1953 r. były to działania bezkarne. Dopiero po 1956 r. sytuacja uległa zmianie, ale wielu krzywd nie udało się naprawić. Przymusowa repatriacja ludności polskiej ze Wschodu też nie poprawiała ich doli, chociaż tu uczucie krzywdy miało całkiem inny, nazwijmy obustronny wymiar.

Było sprawą normalną na wsi, przed wojną a i teraz, że nauczyciele na wsi byli animatorami życia kulturalnego i społecznego w różnej formie. Ojciec najwięcej serca i czasu poświęcał organizacji Straży Pożarnych; miał takie powiedzenie, że tak naprawdę tylko dwie organizacje zasługują na pomoc, składki, itp. - Polski Czerwony Krzyż i Ochotnicze Straże Pożarne. Życie pokazuje, że było w tym dużo prawdy. Budując w Maluszynie remizę strażacką (o tym jak zdobył drzewo pisałam już Panu), kazał ją zaprojektować by mogła spełniać różne funkcje. Nie wiem, czy została spalona czy rozebrana, i kiedy postawiono ten obrzydliwy bunkier, ale tamta miała balkon dla orkiestry, scenę na której odbywały się różne uroczystości, dwie przybudówki, w których można było urządzić kasy i wejście za kulisami. A powierzchnia na której stały wozy strażackie była wykorzystywana na zabawy, przynoszące dochód dla OSP oraz inne, większe imprezy.

Ojciec miał szczególny stosunek do dokumentów i to przekazał całej rodzinie, szczególnie do dokumentów osobistych. Stąd niesłychanie starannie wypełniane księgi ocen w szkołach, gdzie pracował. Miał piękne, kaligraficzne pismo i końcowe świadectwa ukończenia szkoły zawsze wypisywał osobiście, wyręczając w tym wychowawców. Ale równocześnie chyba nie bardzo rozumiał, że administracja "papierkowa" ma swoje prawa i chyba nie doceniał i napewni miał z tym jakieś kłopoty. Na usprawiedliwienie nie tylko mojego Ojca, ale i innych kierowników szkół trzeba zauważyć, że dodatek za kierownictwo, wynoszący w tych latach 50 zł., nakładał na nich wiele dodatkowych obowiązków, nie tylko pedagogicznych. To kierownicy byli odpowiedzialni za absolutnie terminowe zakończenie corocznych remontów szkoły (pamiętam, że to było zawsze w sierpniu), nie było pracowników administracyjnych, którzy by załatwiali papierkową robotę. W Szczecinie, gdzie organizował szkolnictwo zawodowe już od 1947 nr., do piero po upaństwowieniu w 1951 r. z przyznanego przez miasto budżetu, można było zatrudnić sekretarkę, księgową

Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Jan Piotr Popowicz (1900 - 1987)

Xenia Popowicz

(były warsztaty, które "pracowały" na potrzeby szkoły) oraz dwie sprzątaczkę. Ale cechą najważniejszą, moim zdaniem, był stosunek do młodzieży i grona nauczycielskiego, mający swoje źródło we wspomnianej już, empatii do ludzi.

Przedwojenne programy nauczania, takie małe oprawne w skórę książeczki, dawały ogólne wytyczne, ale trzeba było brać pod uwagę i inne uwarunkowania. Sporządzał bardzo szybko stały rozkład lekcji, ograniczając do minimum prowizoria. Zawsze przestrzegał, ażeby przedmioty trudniejsze były na pierwszych lekcjach od poniedziałku do czwartku, pamiętam też rozmowy z Rodzicami na temat religii. Ojciec przewidywał je na ostatnią lekcję, ale był problem z przestrzeganiem przez księży obecności, zwłaszcza gdy parafia nie miała wikarego. Oboje rodzice uważali, że tylko wezwanie do chorego lub choroba samego księdza może uzasadnić jego nieobecność - natomiast terminy ślubów, pogrzebów, chrztów nie mogą kolidować z godzinami religii. Na ogół udawało się wypracować kompromisy. Z innych metod pracy Ojca. Było przed wojną przywołanie, że w czasie tzw. wykopków na jesieni można było zwalniać dzieci z obowiązku szkolnego na 3 - 4 dni. Ojciec natomiast uważał, że dzieci wiejskie i tak bywały obciążane w domach różnymi pracami, często nie miały czasu na naukę, nie mówiąc o zabawie, i wprowadził zasadę, zaakceptowaną przez rodziców, że przy kilku dzieciach, mają się zmieniać, jedno zawsze musi być w szkole.

W Szczytnie miał młodych nauczycieli, którzy dojeżdżali do pracy i nadmiar dokształcali się. Więc plan zajęć w szkole taki konstruował, ażeby sobotą lub poniedziałek mieli wolne od szkoły. Nigdy z nami (tj. ze swoimi dziećmi, a była nas trójka) nie jeździł na egzaminy do innych szkół, ale zarówno z Gościęcina, jak i Szczytna oraz innych miejscowości, skąd wysyłał zdolniejszych uczniów na dalszą naukę, jeździł z nimi i czekał na wyniki (załatwiał niezbędne noclegi), nie zostawiał ich samych, choć sam nie należał do tzw. przebojowych osób. Wtedy młodzież z małych miejscowości i wsi była całkiem inna, to nie są czasy porównywalne. Gdy w czasie wakacji chłopców ze szkoły w Szczytnie zabrano w ramach Służby Polsce (była taka organizacja) do budowy Nowej Huty, pojechał, by sprawdzić jak mieszkają, jak wygląda stołówka, czy nie są nadmiernie wykorzystywani. To podobno zawsze budziło zaskoczenie dyrektorów tych szkół i nadzoru. Myślę, że był kłopotliwy, ale rezultaty były korzystne. Do dziś ma kontakt, luźny, ale mam z uczniami Ojca w Szczytnie, których "zmusił" do zrobienia matury ogólnokształcącej, a potem wysłał na Politechnikę Gdańską i na Uniwersytet w Toruniu. I miał satysfakcję, gdy w latach siedemdziesiątych jeden z nich wrócił do Szczytna jako wicedyrektor swojej pierwszej szkoły, i bardzo był mi pomocny w czasie choroby Ojca, a i teraz, gdy potrzebna jest nie tylko opieka nad grobem. A inni, wracając do swoich domów na urlopy z Dolnego Śląska czy innych terenów, zawsze do niego wstępowali, oferując drobna pomoc, np. malowanie okien w mieszkaniu, przywóz węgla, ot, takie rzeczy niezbędne samotnemu, choremu mężczyźnie. Ja to nazywałam dywidendą za to, co robił we wczesnych latach pobytu w Szczytnie. Były bowiem takie miesiące, głównie jesienno-zimowe, gdy Matka uczyła i mieszkała poza Szczytnem, że jeden z pokoi (miał mieszkanie dwupokojowe, bardzo skromne, z piecami) był chwilowo "internate" dla kilku chłopców, którzy dojeżdżali gdzieś spoza Ostrołęki, a mieli do stacji kolejowej po kilka kilometrów. Skromna "bursa" powstała dopiero około lat pięćdziesiątych. Gdy był na emeryturze, to ci pierwsi uczniowie chwalili się swoimi osiągnięciami zawodowymi, swoimi rodzinami. Wiem, że dawało to jcu przyjemność, lubił nam o tym czasem opowiadać, gdy przyjeżdżaliśmy na Święta.

Przeczytałam napisane cztery strony i stwierdziłam, że są to właściwie strzępy wiedzy o własnym Ojcu, charakterystyka jest powierzchowna i przedstawiona jakoś niezbornie. A piszę te słowa, będąc właściwie w wieku, gdy mój Ojciec żegnał się ze swoim życiem. Zdałam sobie równocześnie sprawę, jak ciężkie były dla niego lata wojny z poczuciem odpowiedzialności za całą rodzinę, bez jakiegokolwiek materialnego oparcia. A nawet przeciwnie - żyli jeszcze jego starzy rodzice. W czasie okupacji sowieckiej Rodzice uczyli, a ja chodziłam do szkoły; za okupacji niemieckiej, Matka była chhóra, Ojciec pracował dorywczo, cały wysiłek był skierowany, żeby mnie nie wywieziono na roboty. Nie byłam nigdzie zameldowana, nie miałam kartek żywnościowych. W czerwcu 1941 r., w momencie wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Matkę trzeba było w trybie pilnym zawieźć do Lwowa na operację onkologiczną. Nie wiem, jak to było załatwione, ale pamiętam, że w tych najgorszych trzech miesiącach chodził pieszo ze Stanisławowa do Lwowa do kliniki z jedzeniem dla Mamy, lekarzy, personelu. To były niewiarygodnie ciężkie tygodnie. Ojciec był wysoki, rzucił się w oczy, więc unikał kolei, gdzie było pełno wojska, czasem łapał jakieś okazje, ale to były głównie piesze wędrówki z plecakiem. Gdy Matka wróciła na jesieni do domu, zaczął się głód z powodu zniszczenia upraw przez powódź i wycofujących się Sowieców (próbowali budować lotniska, kopać okopy...). To

Andrzej Jan Zakrzewski - Maluszyn / Częstochowa

Jan Piotr Popowicz (1900 - 1987)

Xenia Popowicz

wtedy chyba nawiązał kontakt z przyjaciółmi z Maluszyna i spróbował zbadać, co ocalało z naszego mieszkania w Wolborzu, opuszczonego 5 września 1939 roku. Okazało się, że ocalały tylko niektóre książki, wyniesione przez nowego lokatora na strych. Te książki były z nim do końca życia w Szczytnie, a teraz czekają u mnie na kolejnego właściciela.

Zaczął chorować na serce, po kolejnych przejściach w 1952 r. i chyba w 1955 r. przeszedł na emeryturę. Długo był samodzielny (Matka zmarła w 1969 r.), ale przestał widzieć i zaczęły się inne choroby, przestała wystarczać zapewniona przez 8 godzin opieka. W 1986 r. przeniosłam się do Szczytna i ostatnie osiem miesięcy spędziliśmy razem. Był już zmęczony, nie mógł czytać, słuchał radia praktycznie przez całą dobę, póki mógł robił różne notatki w kalendarzach bardzo systematycznie, codziennie, potem go wyręczałam. Gdy wróciło mu poczucie bezpieczeństwa, kiedy przyzwyczał się do mojej stałej obecności, zaczął wspominać, opowiadać o przeżyciach z przeszłości, ale choroby coraz bardziej go wyłączały z bieżących spraw. Cierpiał, ale nigdy się nie skarżył. Ojciec był dyrektorem założonej, a właściwie stworzonej przez siebie szkoły tylko 5 lat, ale w Szczytnie mieszkał 40 lat! Człowiek, któremu Ojciec pomógł, wtedy, kiedy wszyscy tego człowieka unikali, bo bano się mu pomóc, wyrzadził Mu największą krzywdę w życiu. Ten człowiek zmarł parę tygodni temu, dlatego nie będę rozwijać tego tematu. Ale Ojciec miał swój ostatni, piękny dzień, gdy kończył 80 lat. Aktualny wtedy dyrektor szkoły, a właściwie Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 im. Stanisława Staszica, z Gronem Nauczycielskim, wśród których byli jego pierwsi uczniowie, urządzili Mu piękne urodziny i w dalszych latach dawali dowody pamięci, a mnie pomocy. Zmarł świadomy chwili odchodzenia, 28 maja w swoim mieszkaniu i pochowany jest w Alei Zasłużonych w nowej części cmentarza w Szczytnie, które kochał na równi z Maluszynem. Grudzień 2012 r.